ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 156.

№ 18. | Warszawa, 16 (3) września 1905 r. | Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Na ryku.

PRAWO ŁOWIECKIE W POLSCE

w wiekach średnich.

(*Ciąg dalszy*).

Niech mi będzie wolno, wprawdzie niezupełnie ze źródeł wysnutą, ale raczej na myśliwskich podstawach opartą, przedstawić tu przypuszczalną istotę tego ciężaru prawa łowieckiego. Polegał on prawdopodobnie na tem, że gdy w obrębie terytoryum, do danej osady należącego, zagnieździł się dziki sokół, cała ludność osady była odpowiedzialną za całość gniazda, a obowiązaną pilnować [1]) szczególnie tej chwili, gdy młode pisklęta poczynały latać, ażeby je wówczas, jako najzdatniejsze do układania dla celów myśliwskich uchwycić. Nie było to rzeczą łatwą, to też, gdy sokół gdzie się zagnieździł, dzień i noc straż wysłana, z osady pilnie musiała baczyć na stan i wzrost młodych piskląt, rychłoli chwila wylotu z gniazda ma nastąpić. Zagnieżdżenie się takie sokoła było prawdziwą klęską dla przyległej osady [2]). Na wieść bowiem o tem, zjeżdżali zapewne równocześnie i sokolnicy książęcy, i do uciążliwego i tak obowiązku stróży gniazda sokolego, przybywał jeszcze gorszy stan sokolników książęcych, który przy dłuższem trwaniu i zwykłych w tych razach nadużyciach z ich strony, mógł i zamożną nawet osadę zniszczyć ekonomicznie zupełnie. Najgorszem już ze wszystkiego było, jeżeli sokolęta, nie dość może dobrze pilnowane, uleciały z gniazda; wówczas czekała ludność kara grzywny „siedemnadziesta“ [3]), nałożona za wykroczenie przeciw obowiązkom, wynikającym z prawa książęcego (ta sama kara czekała i włościan obowiązanych do strzeżenia bobrów).

[1]) Ceterum si falco repariatur in ambitu loci praetaxati maneat custodiae loci munimine deputatus, Rzyszcz.-Muczk. z r. 1264.

[2]) Nonum genus molestie dicuntur, circa pauperes Poloniae principes invenisse videlicet quod ipsorum custodie committunt castores et falcones, qui si solida nidorum loca relinquerint sequentes native spiritum libertatis, vel aliquis de pullis perditur eorundem pauperes ipsos in septuaginta marcharum condempnant. Kod. Wielkopolski 143.

[3]) Badeni wymienia karę śmierci bez podania jednak źródła.

Sokolowe więc polegało na dwóch rzeczach: *custodia* strzeżenie, a w razie uchybienia temu obowiązkowi *solutio* opłata kary siedemnadziesta. Wskazują na to słowa dokumentu: „*nec custodiant nec solvant*“ [1]), a zwłaszcza słowa: „*non teneantur solvere silvestrem falconem si deperit*“ [2]).

Ciekawe świadectwo o ucisku chłopów z racyi sokolowego, daje nam bulla papieża Grzegorza IX-go z r. 1233. Ucisk ten doprowadzał nawet do tego, że „*cum tam iniquam et inauditam pati non valeant servitutem ad perfidiam Ruthenorum et Pruthenorum transeunt cohabitatione fidelium derelicta*“. To też było powodem, że gdy zdarzało się to i w dobrach kościelnych, wystąpił przeciw temu obowiązkowi nawet papież.

Na Mazowszu w roku 1230 Konrad ks. krak. i maz. obowiązek ten nieco złagodził w dobrach kościelnych, nie nakładając kar na ludność, gdy sokół zginął, lecz nakazując chłopom wsi kościelnych jedynie pomagać w strzeżeniu go w gnieździe chłopom wsi innych [3]).

Dopiero gdy przy lokowaniu wsi na prawie niemieckiem, zwalniano ludność niewolną od wszystkich ciężarów prawa książęcego, dozwolono chłopom drzewo, na którem sobie sokół miejsce obrał, ściąć nawet, aby w ten sposób zmusić go do porzucenia gniazda i wyniesienia się z obrębu osady [4]).

Prawo chwytania młodych sokołów było pierwotnie wyłącznym przywilejem księcia, później dopiero spotykamy się w końcu XIII [5]) i XIV wieku z wypadkami, że książę poszczególnym panom prywatnym i duchownym dozwala „*si falco in earum villarum confinia intraverit ipse suique legittimi successores cum habeant plenam licenciam accipiendi*“. Trojden, książę czerski, nadaje to prawo Krystynowi, wojewodzie czerskiemu wraz z dobrami; musiał je również posiadać klasztor św. Wa-

[1]) Kod. Wielkop. 455.

[2]) Kętrzyński, 30, dokum. kat. płockiej Nr. 1.

[3]) Item non teneantur solvere silvestrem falconem, si deperit quia eiusdem est libertatis in aere, cuius piscis in mari, sed iam inventum nidificantem adiuvent vicinos custodire et pullos eius. Kętrz. 30. Dokum. Nr. 1.

[4]) Preterea si ipsa avis nidum sibi in locis congruis eligerit pro securitate potiori prorsus eam de suo districtu repellentes, arborem, super quam nidificaverit, succidant tuti, a nobis eis concesso presidio libertatis. Kod. Malop. LXI.

[5]) Kod. maz. z r. 1295.

POLOWANIA NA SŁONIE.

(W Afryce niemieckiej i Indyach angielskich).

Redaktor gazety, wychodzącej we wschodniej Afryce niemieckiej, opowiada w swem piśmie o własnej wyprawie na słonie w tamtych stronach. Na zapytanie, zwrócone do wyższego oficera, obozującego w Szirati nad jeziorem Wiktoryą, otrzymał odpowiedź, że tutaj można ubić zarówno zwierzęta, nazwane gnu (*Catoblepas*, rodzaj zwierząt przeżuwających, z rodziny pustorogich, mający rogi na czole), zebry i mnóstwo gatunków antylop, jak i lwy, słonie, oraz kifaro.

P. Horn, redaktor, wyjechał z Dar-es-Salam w towarzystwie kilku kolegów, o godzinie szóstej rano. Przez wieś Mgono dotarli do Ukirone, gdzie wypoczywali po siedmiu godzinach podróży. Po południu weszli do krainy, w której już się poluje. Nazajutrz byli w Usimbite, gdzie ubili oprócz kilku antylop, jednego gnu i dwie zebry. Wreszcie doszli do niziny Mary, gdzie się zbierają słonie.

Wysłani ludzie, powrócili z odpowiedzią, że tam są one istotnie, ale za dnia kryją się w sitowiu nadwodnem przed żarem słońca, a dopiero nocą wychodzą niekiedy w stepy. Wobec tego, myśliwi nazajutrz wstali o wpół do czwartej nad ranem i przy świetle latarni, pod przewodnictwem krajowca udali się do ścieżki, prowadzącej do ostoi słoni.

O godzinie piątej, gdy świtało, byli już na miejscu. Nizina, zasłonięta mgłą gęstą, rozciągała się na szerokości dwudziestu kilometrów, długości zaś nie można było dojrzeć okiem. Wiatr mieli doskonały ze strony wody, nad którą leżały słonie; za sobą zaś zostawili góry lesiste. Jakiś czas posuwali się cicho w sitowiu bardzo wysokiem, nagle jeden z przewodników przystanął i z oznaką wielkiej radości oznajmił, że stado słoni tylko co przeszło tędy. Nie odkrywszy jednak żadnego śladu, zapytali zdziwieni, skąd on wie o tem; w odpowiedzi dotykał nosa własnego, wskazując, że to zwąchał.

„Niezadługo — pisze dalej p. Horn — znaleźliśmy też 2—3 ścieżki, wydeptane na szerokość dwóch metrów nogami słoni. Teraz obudziła się w nas namiętność myśliwska, uważaliśmy za wielkie szczęście to, że wogóle jesteśmy w pobliżu słoni.

Ponieważ na wschodzie robiło się coraz jaśniej, przeto trzeba było bardzo się spieszyć; biegliśmy więc szybko śladem stóp słoniowych. Po chwili jeden z przewodników wydał nagle krótki okrzyk zdumienia, jednocześnie wskazując na dużą masę szarą, która się poruszała nad wodą w oddaleniu półtora kilometra od nas. Były to upragnione słonie. Nie zapomnę nigdy tej chwili, gdym pierwszy raz w życiu ujrzał te ogromne i wspaniałe zwierzęta na swobodzie, rozkoszując się krótki czas ich widokiem niezwykłym.

wrzyńca pod Kaliszem, skoro dyplomat klasztoru tynieckiego [1]) mówi, że chłop, który znajdzie gniazdo sokoła, ma obowiązek dać *„praeposito“* jedno pisklę pod zagrożeniem grzywny *„media marca“*. W wieku XV przywilej ten staje się ogólnem prawem rycerstwa, a używanie sokołów do polowania nader rozpowszechnionem.

Do ciężarów pokrewnych stanowi łowieckiemu należy jeszcze psiarskie (psarskye) [2]), psarskie (KW. 477, *procuratio canum*, KMl. LXXIX). Wzmianki o niem spotykamy po dokumentach w XIII — XV wieku, wielkopolskich i mazowieckich, tych ostatnich najczęściej (w Wielkopolsce w latach 1278 (KW. 477), 1334 (KW. 1131), 1377 (KW. 1735). Na Mazowszu w latach 1286 (RM. 100), 1358, 1363, 1384, 1416 i t. d. (Ulanowski DKM. str. 323, 331, 342, RM. 1, str. 293 Kod. Maz.). Był to ważny obowiązek utrzymywania i żywienia psów książęcych [3]) podczas podróży samego księcia lub wypraw myśliwskich łowców książęcych. *Procuratio canum, et caniductorum* szło zawsze razem w parze, dając się tem dotkliwiej uczuć ludności.

Najbardziej ulubionym sposobem polowania było podówczas polowanie z psami gończemi. Przytem zdarzało się często, że psy zagnawszy się za zwierzem, przepadały i trudno je było odszukać. Do tego służył ciężar, nałożony na chłopów, zwany „psi ślad“ (pesi ślad) [4]). Obowiązkiem ich było szukać według tropów psich, zaginionych gończaków.

Tłómaczenie to nazwy „pesi ślad“ powtarzam za prof. Piekosińskim. (Ludność wieśniacza w Polsce).

Specyalnie na rzeźnikach ciężył obowiązek oddawania głów zwierząt zabitych, dla psów książęcych, serc zaś i wątroby dla sokołów [5]). W XII wieku obowiązek ten rozpościerał się na całą Małopolskę [1]).

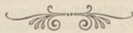
Gdzieniegdzie znów znajdujemy obowiązek oddawania przez chłopów osypki dla psów rocznie *decem modios de Tluz* (tłucz) *quos pro canibus tenebantur exhibere* [2]).

Niekiedy ciężary łowieckie były reluowane na daninę, uiszczaną zazwyczaj w owsie, zwane *avena servitialis*. W jaki sposób przychodziło do tej zmiany, wyjaśniają najlepiej słowa dokumentu [3]). *Auditis etiam multis magnisque gravaminibus, que noster subvenator eorum villis et hominibus eas possidentibus impendebat, ea diutius nolumus tolerare, sed statuimus et firmiter ponimus, ut noster subvenator in die beati Martini XX mensuras avene in vicinia dicti monasterii recipiat annuatim et in propriis curribus reducat, ubi nostre placuerit voluntati.* Podobne wypadki spotykamy na Śląsku, gdzie opłata taka zwie się *lovczhaber* [4]) *avena venatorum* [5]).

Tyle dałoby się powiedzieć o organizacyi łowców książęcych. Widzieliśmy, jak szeroki ona zakres objęła i jak wybitne w organizacyi całego społeczeństwa zajęło stanowisko. Przejdźmy obecnie do prawa łowieckiego, jakie przysługiwało poszczególnym stanom.

Dr. Tadeusz Mońkowski.

(*„Łowiec“*). (*C. d. n.*).



[1]) Kod. tyniecki LXXXVI., ut autem contingerit aliquem cmetonem invenire accipitrum vel nisum dabit eligere preposito de quolibet nido unam avem.

[2]) Kod. Wielkop. 1131. Ibid. 477. i w. in.

[3]) Canes caniductores falconarios et castorarios non pascant. KW. 174. Czytanie tych wyrazów jako „pieszy ślad“, nie wydaje mi się odpowiednie, a forma pesi lub piesi jest w duchu ówczesnym języka zupełnie odpowiednią, temat bowiem słowa tego brzmi pes.

[4]) KM. I, 28, z r. 1228.

[5]) Relaxamus eciam capita animalium que pro canibus nostris sive iecora que pro falconibus accipiebantur a carnificibus loci nominati. Kod Malop. 472.

[1]) Videlicet corda recipere omnium animalium, que mactata fuerint per omnes carnifices in omnibus macellis pro necessitate avium. Kod. Malop. CCXXVII.

[2]) Kod. kat. krak. XXXII.

[3]) Kod. Wielkop. 236.

[4]) Nazwa lovczhaber, być może, jest połączeniem nazwy polskiej urzędu łowczego „lovcz“ i niemieckiego haber—hafer. Kod. dypl. Szlaski, II, XXX, serviciali avena id est avena venatorum, „que Teutonico elogicio lovczhaber apelatur.

[5]) Wymieniony przez Piekosińskiego (Ludn. wieśniacza str. 62) obowiązek łowiecki ludności poszukiwania skradzionej zwierzyny, oparty na słowach dokumentu „non prosequentur vestigia animalium furtim ablatorum“ nie może stosować się do zwierzyny, która przecież żywa skradzioną być nie może, a zatem i śladów za sobą (vestigia) pozostawić. Wyraz także „animalia“ nie „ferae“ wskazuje, że należy tu rozumieć kradzież bydła domowego.

Słonie tymczasem zbliżyły się do gąszczu sitowia na samym brzegu wody. Byliśmy już tak blisko, że mogliśmy rozpoznać oddzielne sztuki, oraz widzieć poruszenie trąby i ogromnych uszu. Ukryci w trawie, wysokości prawie człowieka, podchodziliśmy szybko do słoni, które zdążyły tymczasem wejść do lasku, gdzie żerując, stały chwilę.

Ustawiliśmy się możliwie najdogodniej, czekając na powrót słoni do zwykłego legowiska dziennego. Posuwając się w tym kierunku powoli ku słoniom, byliśmy już na jakie sześćdziesiąt metrów tylko od nich oddaleni. Słonie, których naliczyliśmy około dwudziestu sztuk, stały spokojnie i żerowały, sięgając swem cielskiem ogromnem wysokości wierzchołków niektórych drzew. W stadzie było także 4—5 młodych, jeszcze nie wyrosłych dostatecznie. Grupa cała tworzyła obraz wspaniały.

Chwilę przystanęliśmy, poczem namawiałem towarzyszów do dania pierwszych strzałów, bo byliśmy doskonale osłonięci, a słonie kroczyły bardzo wolno, przeważnie jeden za drugim. Głowy ich stanowiły cel wyborny, do którego trudno chybić. Ale jeden z kolegów, który miał już pewne doświadczenie na punkcie polowania na słonie, radził podejść jeszcze bliżej. Podeszliśmy więc do dwudziestu pięciu metrów od ogromnych zwierząt i zatrzymawszy się, obmyśliliśmy, którego wziąć na cel najpierw. Wybraliśmy dużego samca. Strzelba moja wypaliła i jednocześnie także druga mojego sąsiada. Oba strzały były trafne: ugodziły w głowę słonia. Ze straszliwym rykiem zwalił się ogromny słoń, zwracając łeb w stronę, gdzieśmy stali z wymierzonemi lufami, i trąbą łamiąc pnie kilku akacyj, w pobliżu się znajdujących. Po chwili jednak skończył życie.

Teraz nastał także ruch śród pozostałych słoni. Głośno parskając, większe słonie, samce i samice, pośpieszyły do swego martwego towarzysza. Głowy unosiły do góry, trąby stały prawie pionowo nad zwierzętami, które biegały w jedną i drugą stronę, poszukując nieprzyjaciela. Rozległo się nagle gwałtowne trąbienie, które było znakiem do odwrotu, danym przez przewodnika, i całe stado z młodemi na czele, pośpieszyło ciężkim krokiem do sitowia nad rzeką. Pogoniliśmy też za słoniami uchodzącemi, strzelając kilka razy, przyczem ubiliśmy trzy jeszcze słonie, znajdujące się w pobliżu sitowia wodnego. Pozostałe słonie zdołały się ukryć w gąszczach. Rozlegało się tylko ryczenie trzech sztuk, ranionych śmiertelnie, które padły śród sitowia. Nie zabraliśmy ich z sobą naturalnie, lecz daliśmy znać o ubiciu ludziom, w pobliskiej miejscowości zamieszkałym, którzy zajęli się uprzątaniem zabitych słoni. Tylko kły odesłano nam potem do najbliższej stacyi.

Francuski podróżnik, Klaudyusz Albaret, był naocznym świadkiem łowów na słonie, podczas pobytu w Indyach angielskich. „Dano znać — pisze on — że sta-

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

Hodowli oddamy też wielką przysługę, jeżeli podczas gołoledzi bronować będziemy powlokę, t. zw. krustę na oziminach, przez co kuropatwom umożliwi się dostęp do pożywienia.

Obok powyższego zaliczyć wypada do hodowli staranie o nastręczenie kuropatwom bezpiecznych miejsc do zakładania gniazd.

Znając zwyczaje kuropatw, wiemy, że najchętniej zakładają gniazda w koniczynach i zbożach, które wcześnie przypadają do sprzętu, wobec czego narażone są na zagładę przez wysiekanie. Płoszenie kuropatw sznurami, przeciąganemi po koniczynach, żeby w nich gniazd nie zakładały, jak niemniej płoszenie w tym samym celu wyżłami i t. p., nie ma dla hodowli większego znaczenia, bo sposoby te nie odwodzą kuropatw od miejsc ulubionych.

Uważam za stosowne podać tutaj uzyskane w hodowli kuropatw, doświadczenie znanego w kraju, myśliwego-hodowcy, ks. Stefana Lubomirskiego. W artykule „Łowca Polskiego“ (Nr. 4 z 1899 r.) tak książę pisze:

„Przez stosunkowo długi szereg lat zastosowywałem w majątku moim, Kruszynie, wszystkie znane w kraju i zagranicą sposoby i metody podniesienia zwierzostanu, z bardzo różnym skutkiem; to też, widząc dzisiaj powstające pismo, poświęcone sprawom myślistwa prawidłowego, uważam sobie za obowiązek podzielić się z hodowcami temi środkami, które najlepsze, w moich doświadczeniach, przyniosły rezultaty.

„W hodowli kuropatwy, oprócz zgubnych wpływów atmosferycznych, największe szkody sprowadza wysiekanie gniazd w polach i łąkach, wcześnie do sprzętów przychodzących. Wszelkie środki, jako to: spędzanie wiosną par z miejsc podobnych, a przed rozpoczęciem zbioru odszukiwanie z psem gniazd, niewielką korzyść przynoszą. Znacznie lepsze rezultaty otrzymuję od lat kilku, zakładając w koniczynach, łąkach i t. p. polach, ochronne wianki, które w następujący sposób u mnie urządzają. Gałęzie kolczastego głogu lub tarek układa się wieńcem na przestrzeni, mniej więcej, metra kwadratowego, bacząc, aby środek był wolny. Gałęzie te za pomocą kulek drewnianych przytwierdza się mocno do ziemi, aby je wichry zimowe porozносić nie mogły. W wolny środek tego pierścienia rzuca się garstkę słomy lub siana, aby zadosyć uczynić zwyczajowi kuropatwy przykrywania źdźbłami traw jaj, skoro gniazdo opuszcza. W ten sposób urządzony wieniec robić powinien wrażenie naturalnej kępy, na łokieć, mniej więcej, wysokiej. Ilość takich kęp na polu jest zawisłą od ilości kuropatw w danej miejscowości. W Kruszynie ustawia się je w stosunku jednej na trzy lub cztery morgi. Kuropatwy, rozbijając się na wiosnę na pary, upatrują sobie wcześnie miejsca na gniazda, a wobec nagich pól, wiedzione instynktem, zabierają z upodobaniem na ten cel przygotowane kępy, do których widoku już przez zimę przywykły i każda para obejmuje w posiadanie wieniec tarniowy, dający jej na cały czas niesienia i wysiadywania rękojmię zakrycia i ochrony.

„Przy zakładaniu wieńców, należy naturalnie obierać miejsca wyższe, nienarażone na zbieranie się wód w czasie ulewnych deszczów. Wianki ochronne mogą służyć długi czas, co roku w innych ustawiane miejscach, a system ten zmniejsza znacznie procent zniszczonych gniazd, gdyż nawet przy zupełnem obsieczeniu kępy, kuropatwa spokojnie dosiaduje w nich do chwili wylęgnięcia młodych. Wprowadzając do hodowli wieńce ochronne, należy zwiększyć dozór nad szkodnikami, zwłaszcza dwunożnymi. Ludzie, snujący się po polach, pastuchy, mają niejako wskazane, widocznemi zdaleka kępami, miejsca, gdzie mogą bez trudu uprawiać ulubiony sport wybierania gniazd.

„Sposób wieńcowy usilnie polecam hodowcom-myśliwym. Jest on łatwy, niekosztowny, a dobrze zastosowany, zwłaszcza po pewnem przywyknięciu doń kuropatw, przynosi lepsze skutki, niż inne środki, jako to: wylęganie wykoszonych jaj pod kurami lub w sztucznych wylęgarniach i wychowanie następnie młodych, zawsze uciążliwe, a stosunkowo rzadko wynagradzające trudy poniesione“.

---

do, złożone z trzydziestu do trzydziestu pięciu słoni, ukazało się w okolicach Tuli (w prowincyi Madrasu), gdzie zatrzymałem się na kilkodniowy pobyt. Jeden z oficerów angielskich zaprosił mnie uprzejmie na te łowy, nieznane mi zupełnie.

Kulisowie wytropili dokładnie wszystkie ruchy i przejścia stada. Upewniwszy się, że słonie przechodzą codzień przez jedno miejsce w lesie, wyprawili się tam gromadnie, z motykami i łopatami. W ciągu dwóch godzin wykopali ośm rowów, szerokich po trzy metry i po trzy metry głębokich. Dno rowów wysłane zostało grubą warstwą liści i gałązek, dla osłabienia gwałtowności upadku. Potem przykryto je grubemi gałęźmi, a na wierzchu ułożono warstwę liści, trawy i darniny, poczem kopacze odeszli.

Dopiero rankiem trzeciego dnia, strażnik leśny dał znać oficerom, że w nocy do jednego rowu wpadł słoń. Sir Rajmund Olbridge rozkazał mahutowi zaprowadzić na to miejsce oswojonego, domowego słonia, zabrał mnie, i wyruszyliśmy pieszo z licznym orszakiem kulisów i żołnierzy, kierując się najkrótszą drogą w stronę rowów. Rzeczywiście w głębi wykopu była młoda samica. Ujrzawszy nas, wpadła w szaloną wściekłość. Rzucała się ku nam i wyciągała trąbę, chcąc nas pochwycić. Ale, uderzając gwałtownie o ściany wykopu, spadała w głąb, podnosiła się i rzucała znowu do szturmu. Zwalić słonia do wykopu — to jeszcze nie wszystko: trzeba go ztamtąd wydobyć. A to zadanie najtrudniejsze, najmozolniejsze i najniebezpieczniejsze z całego polowania.

Mahut, bardzo zręczny łowiec, zrobił pętlę z aloesowych powrozów i przez dobry kwadrans usiłował ją zarzucić na szyję uwięzionego słonia. Ale słoń bronił się zawzięcie. Wywijając trąbą, unikał sznura, którego każde nowe zarzucenie, wzmogało wściekłość rozszalałego zwierzęcia skaczącego na ściany wykopu, z nieustannym rykiem. Nakoniec lasso oplątało szyję słonia; połowa zadania została wykonana. Napróżno więzień usiłował uwolnić się od pętlicy, a potem próbował zerwać linę, której drugi koniec umocowano do sąsiedniego drzewa. Po kilku minutach wysiłków, zrozumiał, że walka jest daremna, uspokoił się i można było sądzić, że jest już zrezygnowany.

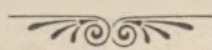
Tymczasem nadszedł majestatycznym krokiem stary *tusker*, oswojony słoń. Zobaczywszy głowę swego współbrata, wyglądającą z rowu, zbliżył się zaciekawiony i dotknął trąbą końca jego trąby. Słonie stały tak długą chwilę, jakgdyby szeptały sobie jakieś poufne zwierzenia...

Mahut obwiązał koniec liny w pół ciała nowoprzybyłego słonia, i rozpoczęła się trzecia część roboty. Nie było potrzeby zachęcać starego słonia, który sam dobrowolnie, zaczął ciągnąć z całych sił, a tymczasem kulisowie wrzucili do rowu pęki gałęzi i trawy, żeby ułatwić schwytanemu słoniowi wyjście. Inni płoszyli go, bijąc kijami, a nawet rzucając

Do powyższego dodam, że wieńce ochronne muszą być ściśle według podanych wskazówek wykonane, w przeciwnym bowiem razie kuropatwy mogą gniazd w nich wcale nie zakładać.

Dla hodowli byłoby bardzo ważną rzeczą, gdyby tak włościan zachęcić do wysadzania granic i miedz wszelkiego rodzaju krzewami, czy to użytkowemi, jak agrest, porzeczka, malina i t. p., czy też dzikiemi, jak jałowiec, żarnowiec, łubin trwały i t. p. Osiągnęłoby się w ten sposób podwójną korzyść, ustaliłoby się granice, które tak często są powodem waśni i sporów granicznych z przyczyny zaorywania z jednej, a z drugiej strony nastręczyłoby się kuropatwom obok schronienia, także i ulubionego pożywienia w czasie zimy, jakiemi są owoce tak szlachetnych, jak i dzikich krzewów. Większe dwory powinny dać pod tym względem przykład, i granice, jak i miedze pól płodozmianowych wysadzać różnemi krzewami.

(C. d. n.).



Gawędy starego myśliwego.

VI.

O ile sięgnę pamięcią w czasy dawniejsze, a przeżyłem już lat wiele, zmieniły się od tego czasu warunki klimatyczne naszego kraju, przepadły gdzieś owe urocze wiosny, pełne stopniowo rozwijającej się zieleni, kwiecia i słonecznego ciepła, wśród których wszystko, co istnieje na tym świecie, spieszyło składać hołd wdzięczności Najwyższemu Stwórcy za nowe, rozpoczynające się życie, — zmieniło się i dawne lato, pełne dziś różnego rodzaju niespodzianek, tak ujemnie nieraz oddziaływających na urodzaje i rezultaty pracy ziemianina, ale pozostały nam jeszcze prześliczne przeważnie dni jesienne, dni stopniowego pożegnania z usypiającą się przyrodą, dni jednakże rozpoczynającej się działalności myśliwego, na które z bijącem sercem, nadzieją i niecierpliwością oczekiwał.

Otóż w jednym z późniejszych takich dni jesiennych wybrałem się na polowanie na kuropatwy z doskonałym wyżłem. Kuropatw w owym roku miałem dużo, dość bujna roślinność traw i niezebranych jeszcze płodów rolnych przedstawiała dobre jeszcze dla kuropatw schronienie, a więc i możność łatwiejszego odnalezienia ich i podejścia, a że nie miałem przygotowanych nabojów do broni odtylcowej, a i na szybkości nabijania nic mi nie zależało, więc wziąłem z sobą dawną broń kapiszonową z potrzebnym zapasem prochu i śrótu na kuropatwy. Towarzyszył mi w tej wycieczce nauczyciel moich synów, były wychowaniec Szkoły Głównej, który jednakże strzelać nie umiał, zaprawiał się dopiero do polowania i wystarczał mu jeszcze udział w polowaniu z laską w ręku.

Polowanie rozpoczęliśmy pomyślnie, zwierzyny było sporo, zabiło się dość kuropatw i kilka przepiórek, pies popisywał się doskonale; w takich warunkach ze wzrastającą ochotą szło się naprzód i nareszcie znaleźliśmy się na półwiorstowej szerokości i długości pasie pola, położonym pomiędzy lasem moim a lasem majątku sąsiedniego.

Pies stanął; zbliżyliśmy się do niego, przygotowując się do strzału, kiedy towarzysz mój pochwycił mię za rękę i zatrzymując, zwrócił moją uwagę, że z sąsiedniego lasu wyszło coś dużego, czarnego i stanęło na brzegu pola. Spojrzałem we wskazanym mi kierunku i ujrzałem ogromnego dzika, który, poruszając się zwolna to w jedną, to w drugą stronę, zdawał się jakby namyślać, gdzie się ma udać.

Przypuszczając z nabytego doświadczenia, że dzik ten najprawdopodobniej zwróci się do mojego lasu, a na czystem polu nie było możności gdzieś się ukryć, ani poruszyć bez możebnego spłoszenia dzika, więc szybko usiadłem na ziemi, towarzyszowi swojemu poleciłem uczynić to samo i nic się nie poruszać, psa zawołałem do siebie, a w tej gorączce myśliwego zupełnie zapomniałem, że mam broń nabitą śrótem na kuropatwy i że innego przy sobie nie miałem.

Przez parę jeszcze minut dzik albo stał spokojnie, albo zwolna poruszał się na miejscu, a następnie małym galopem zwrócił się prosto ku nam. Oczekiwałem go z gorączkową niecierpliwością i oczekiwanie to wydało mi się wiekiem. Nareszcie dzik zbliżył się do nas na piętnaście kroków, a był to ogromny, stary widocznie pojedynek.

---

w niego kamieniami, chcąc go zmusić do wyjścia. Ale więzień opierał się ciągle, a stary słoń zaczynał już okazywać zniecierpliwienie.

Wtedy jednemu kulisowi przyszedł doskonały pomysł, zdjął z siebie czerwony pas, i wywijając nim nad głową, zbliżył się do więźnia. Słoń przeląkł się i zrobił rozpaczliwy wysiłek, żeby się wydobyć z wykopu. Po dwóch nieudanych próbach, udało mu się nakonice oprzeć duże przednie nogi, na brzegu rowu. Jednocześnie *tusker*, zachęcany przez mahuta, szarpnął się potężnie — tak potężnie, że więzień stracił równowagę, upadł ciężko na bok i został przez niego pociągnięty kilkanaście metrów. Rozwścieklony porwał się z ziemi, wywijając trąbą. Ale *mahut* skorzystał z tej chwili, gdy słoń leżał, i zarzucił pętlę na jedną z tylnych nóg. Nie pozostawało mu już nic innego, tylko poddać się. I tak też zrobił — ale dopiero po dwóch, czy trzech dniach postu.

Pewien oficer angielski, który przebywał kilka lat w Północnej Rodezyi, w Afryce, gdzie jeszcze jest mnóstwo dzikich słoni, opowiada, że po długiem śledzeniu jednego stada, kazał wykopać w upatrzonem miejscu rów, głęboki trzy metry. Pokryto go, jak zwykle, warstwą gałęzi i darniny.

Nad wieczorem krajowiec, postawiony na czatach, przybiegł do majora z wiadomością, że do wykopu wpadł słoń, co wywołało wielką radość w obozie. Ale okazało się nazajutrz, że wiwaty, wznoszone z powodu ułowienia słonia, były przedwczesne. Major odłożył do rana wydobycie więźnia z rowu, kazał strażnikowi powrócić na stanowisko i zawiadomić niezwłocznie, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

W nocy niezwykle jakieś hałasy obudziły murzyna, który przywiązał się do rozłożystych gałęzi drzewa. Ponieważ noc była księżycowa, mógł poprzez liście przyjrzeć się osobliwemu widowisku. Jakieś trzydzieści słoni, otoczyło kołem wykop. Dwa samce zbliżyły się do brzegu i bardzo ostrożnie wysuwały przednie nogi, opierając się silnie na tylnych. Jednocześnie zapuszczały trąby w głąb rowu, jakgdyby chciały zmierzyć jego głębokość.

Murzyn dopiero po pewnym czasie zrozumiał ich manewr. Słonie z wyciągniętemi trąbami zaczęły cofać się pomału. Po chwili człowiek zobaczył, że do ich trąb przyczepiona była trzecia trąba—i zrozumiał, co to znaczy — ale zapóźno. Dwa słonie poświęciły się dla ocalenia trzeciego — młodej samicy, która wpadła do wykopu... Napróżno murzyn pośpieszył do majora, z zawiadomieniem, co się dzieje... Gdy oficerowie nadbiegli ze swymi ludźmi, stado słoni znikło już w głębiach afrykańskiej puszczy, zdala od zdradzieckiej zasadzki...

J. K.



Ze względu na obecność mego towarzysza zawahałem się chwilowo wobec możebnego niebezpieczeństwa, jakiego sam już niejednokrotnie z dzikami doświadczałem, ale gorączka myśliwska wzięła górę nad rozsądkiem. Skoro więc dzik zaczął nas mijać, powstałem szybko i dałem do niego strzał pierwszy, mierząc pod ucho. Dzik jakby otrząsł się tylko po tym strzale, zaś po strzale drugim, biegnąc małym galopem, upadł posuwisto na wszystkie nogi, ale się ani rzucił, ani też na bok nie przewrócił.

Towarzysz mój zerwał się z ziemi z krzykiem i radością, zrobił krok naprzód, aby zbliżyć się do dzika, ale na szybki mój rozkaz pozostał na miejscu i jak mu poleciłem, został w postaci nieruchomej. Tymczasem dzik zaczął się podnosić na przednich nogach; siedząc początkowo na nogach zadnich, zwracał się powoli w naszą stronę, zaczął się nam bacznie przypatrywać, a nareszcie fuknął kilka razy i powstał na wszystkie nogi.

Trwało to wszystko jakieś parę minut. Znaleźliśmy się na czystem polu i o kilkanaście kroków od ranionego dzika, patrząc sobie oko w oko i zachowując się naturalnie nieruchomo, jak słupy, bo najmniejsze poruszenie mogło nas zgubić, a środków obrony nie było żadnych.

Widząc groźne niebezpieczeństwo i w celu odwrócenia od nas uwagi dzika, puściłem psa, którego dotąd trzymałem za obrożę. Pies szybko podbiegł ku dzikowi, zaczął go okrążać, naszczekując, co naturalnie zmusiło dzika do obrony. Rozpoczęły się harce psa z dzikiem, którym zmuszeni byliśmy przypatrywać się bezczynnie i nie bez poważnej obawy. Dzik rzucał się na psa kilka razy, ale na szczęście nie w naszą stronę, a następnie zaczął się powoli od nas oddalać, kierując się w stronę, skąd przyszedł. Mogłem już psa odwołać, niebezpieczeństwo minęło szczęśliwie, a nadzieja zdobyczy myśliwskiej przepadła, bo dzik, nie okazując w ruchach jakiegoś większego zranienia, schronił się do lasu.

Na miejscu, na którem dzik upadł po strzale, nie znaleźliśmy żadnych śladów, pozwalających twierdzić, że dzik poważnie został raniony. Wracaliśmy jednakże możebnie prędko do domu, kazałem natychmiast zaprządz konie, wziąłem kilku ludzi, broń odtylcową i naboje z kulami. Rozpoczęliśmy poszukiwanie od miejsca, w którem dzik wszedł do lasu, ale wszystkie te poszukiwania okazały się bezskuteczne. Oczywiście dzik zraniony być musiał o tyle tylko, że chwilowo stracił przytomność lub siły, bo żeby uszkodzone miał nogi i kulał—nie widziałem. A trudno znów przypuszczać, ażebym strzelając o kilkanaście kroków z dobrej broni i mierząc pod ucho, trafił dzika aż w nogi.

Zdarzają się wprawdzie wśród myśliwych wypadki nadzwyczajne, ale do wypadku aż tak monstrualnego, chyba żaden z prawowitych myśliwych bez jawnych dowodów winy, przyznaćby się nie mógł. Że zaś dużo z takich myśliwych w młodości biło bekasy prawie bez pudła, i to z broni jeszcze skałkowej, więc i wierzyć im należy. Bo jakże zresztą nie wierzyć bratu myśliwemu, towarzyszowi i miłośnikowi najszlachetniejszego sportu, z którym każdy inny myśliwy radby się podzielić prawdziwą przyjaźnią, szczerem sercem, słowem, wszystkiem, byle tylko nie zającem lub kuropatwą.

L. Łaszcz.

W sprawie sztucerów.

Niestety, zaledwie od paru tygodni zostałem prenumeratorem „Łowca Polskiego" i dopiero teraz przeczytałem odezwę „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej". Zamieszkując stale Rosyę, dopiero trafem dowiedziałem się o egzystencyi sympatycznego, myśliwskiego pisma polskiego i o świeżo utworzonej „Spółce". Prenumerując różne rosyjskie, myśliwskie pisma, mianowicie „Priroda i ochota", „Psowaja i rużejnaja ochota" i „Ochotniczyj wiestnik", tem łatwiej mi robić porównanie, tem łatwiej poznać wartość „Łowca Polskiego".

Z pism rosyjskich najwięcej zbliżonym do „Łowca Polskiego" jest „Ochotniczij wiestnik", który również ma swój skład broni w Moskwie i na swoich szpaltach daje szerokie pole dla wymiany zdań i oceny różnych kwestyj myśliwskich. Odezwa „Warsz. Sp. myśl." zapewne wszystkim trafi do serca, ja zaś ze swej strony korzystam, aby zasięgnąć niektórych informacyj o sztucerach i zakomunikować zarazem niektóre spostrzeżenia, które może się komu przydadzą.

Mam sztucer ekspres 450 cal. jak p. Petrow, ale sztucer nowożytny, obstalowany w Belgii w fabryce sukcesorów Lepage'a, lufy długości $27^1/_2$ cali ang. ze stali Campound Cop., gilzy $450/82^1/_2$. Proch kładę czarny Winnera Nr. 2 — $6^1/_4$ grama, używając ekspansywnej kuli wagi 20 gramów. Kula moja różni się od podanej przez p. B. Petrowa; długość jej wynosi $23^1/_8$ mm., wewnątrz posiada wydrążenie tylko 11 mm. głębokości, przy 5 mm. średnicy u góry; samo wydrążenie stożkowe.

Ładunki sam robię, zachowując fabryczną wagę prochu i kuli. Lecz tu właśnie, pomimo wielokrotnych doświadczeń, nie jestem pewien, czy osiągnąłem możliwie najlepsze rezultaty. Waga prochu może być ta sama, ale proch zagraniczny różni się od naszego, następnie waga kuli może być ta sama, ale ilość ołowiu gra również tu wielką rolę.

Stanąłem na tem, że dodaję tylko $^1/_8$ część czystego ołowiu.

Wydrążenie napełniam mieszaniną jednej części taniny z dwiema częściami (co do wagi) soli bertoletowej (*cali chloricum*).

Każdą składową część rozcieram na cienki proszek oddzielnie i następnie mieszam ostrożnie razem.

Kule, napełnione tą masą, są dosyć czułe. Na 100 kroków przebijając deseczkę $^1/_8$" ang., eksploadują. Na dalszą metę spostrzeżenia moje zgadzają się w zupełności ze spostrzeżeniami p. Petrowa; aby otrzymać kule więcej czułe, zwiększyłem otwór wydrążenia do 7 mm., pozostawiając tę samą głębokość. Waga kuli spadła do $17^1/_4$ gram. Wagę prochu zostawiłem tę samą.

Cała trudność była przekonać się o działaniu tych kul na dalszą metę w praktyce.

W przeszłym roku, polując w gub. mohylowskiej na dziki, trafiłem odyńca (11 pudów) w pachę na 90 kroków taką kulą. Działanie było straszliwe. Otworu wyjściowego nie można było zakryć dłonią. Dzik padł na miejscu, lecz dyszał kilka minut. Płuca były zupełnie posiekane.

Bić grubszego zwierza na dalszą metę (powyżej 200 kr.) nie miałem sposobności. Dopiero w tym roku, w listopadzie, w gub. włodzimierskiej, koło stacyi Kołoksza, jadąc na polowanie (mam tu zaarendowaną u włościan ziemię, około 10,000 dziesięcin dla polowania specyalnie na łosie), zobaczyłem 6 łosi, przechodzących stępa przez olbrzymią polanę. Wyskoczyłem z sanek i strzeliłem do ostatniego (największy rogal idzie zawsze w końcu) taką właśnie kulą z otworem 7 mm. W głębi był las rządowy; 5 łosi natychmiast ruszyło kłusem w tamtą stronę, ostatni oddzielił się i poszedł w bok. Trafiłem — pomyślałem, — chociaż po nim tego nie było widać. Strzeliłem drugi raz, bo łoś był jeszcze na wolnem miejscu. Donośny strzał przekonał mnie, że spudłowałem.

Zawróciliśmy konia i dalej na przełaj przecinać mu drogę. Śnieg był tylko pół arszyna grubości. Nie przejechaliśmy 300 kroków, gdy ujrzeliśmy stojącego łosia w młodym sośniaku. Stał od nas nie dalej, jak 60 kroków. Tu dopiero przekonałem się, o ile eksplo-

dujące kule niepraktyczne są w młodym i gęstym lesie.

Strzeliłem pięć razy, gałęzie sypały się; łoś stał i stał. Dopiero, gdy zbliżyłem się na 30 kroków i położyłem się w śnieg, zabiłem łosia na miejscu, strzelając mu w szyję.

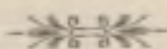
W czasie moich bezskutecznych strzałów łoś stał spokojnie i kręcił głową na obie strony; był widocznie nieprzytomny. Ważył 21 pudów bez wnętrzności, rogi miał o 10 sękach, łopatą.

Łopaciaste łosie są zwykle mniejsze i więcej brunatne od łosi z rogami sękatemi bez łopaty, które są większe i czarnej sierci. Tutaj przeważa ten drugi gatunek. Z 14 łosi, które tu w ciągu trzech jesieni zabiłem; wszystkie były czarne, oprócz tego jednego. Z nich dwa ważyły po 29 i 30 pudów, formalne olbrzymy, a rogi, niestety, miały nieprawidłowe, pierwszy miał trzy sęki z jednej, a dwa z drugiej, drugi cztery sęki z jednej, a jeden z drugiej. Twierdzenie więc p. Naryszkina (*„Ochota na łosiej“*), że łosie w podeszłym wieku mają rogi coraz mniejsze i nieprawidłowsze, sprawdziło się u mnie doskonale.

Wracam do mego brunatnego łosia. Pierwszy strzał był na 252 kroki; trafiłem mu w pierś z prawej strony; strzelałem mu w ślad na ukos. Kula przeszła przez płuca, trafiła w lewą przednią łopatkę i *eksplodowała*. Ciekawe to, że krwi nie było ani kropli, a różnicy w biegu nie widzieliśmy, bo ciągnął lewą nogę, co widać było ze śladów na śniegu, a z tak dalekiej mety dojrzeć tego było niepodobna.

Kość łopatki była pęknięta, ale kula na wylot nie przeszła. Otóż zrobiłem sobie pytanie. Gdybym lał kule z czystego ołowiu, używał prochu Liszewa lub „Sokół“, czyby wynik nie był lepszym? Obawiam się zepsuć sztucer, używając prochu bezdymnego i zbyt twardych kul. Może kto z prenumeratorów byłby łaskaw mi tę kwestyę na szpaltach „Łowca Polskiego“ wyświetlić? [1]).

Włodzimierz Lubicz.



Zakończenie zamiast przedmowy.

W jednym z ostatnich numerów „Łowca Polskiego“ zakończyłem opisanie istniejących obecnie ras psów domowych, rozpoczęte przed sześciu laty w pierwszym numerze tego pisma. Przystępując do tej pracy, nie mogłem z góry określić jej rozmiarów, ani też nie miałem pewności, czy wobec innych, obowiązkowych zajęć, zdołam ją ukończyć. Obecnie, dobiwszy szczęśliwie do celu, dołączam jeszcze kilka objaśnień, tyczących się ogólnego planu, którego trzymałem się od początku.

W dotychczasowych dziełach, traktujących o psach domowych, autorowie przyjmowali podział ras na grupy podług sposobu użytkowania tych ras przez człowieka. Dzielono więc psy na myśliwskie, pasterskie, stróżujące, pociągowe i pokojowe. Taki podział nie zdawał mi się racyonalnym, gdyż albo łączył w jednej grupie psy wyraźnie różnego pochodzenia, albo też psy, zbliżone do siebie budową i pochodzeniem, rozdzielał w różne grupy. Tak np. między psami pasterskiemi pomieszczano niektóre z psów ostrouchych i bardzo różniące się od nich, wielkie psy pasterskie; w grupie psów pokojowych spotykały się charciki włoskie obok karłowatych spanieli i piesków maltańskich; z drugiej znów strony psy ostrouche rozdzielano między psy pasterskie, stróżujące, pociągowe (u Eskimosów i Kamczadałów) i pokojowe. Studyując bardziej szczegółowo, mniej więcej ustalone rasy psów, doszedłem do przekonania, że można je podzielić na pięć wielkich grup, z których każda tak wyraźnie różni się od innych, że prawdopodobnie pochodzą one conajmniej od pięciu gatunków psów dzikich. Grupy te, jak już wiadomo czytelnikom, którzy mieli cierpliwość śledzić za moją pracą od początku, są następujące: „Psy wisłouche“, „Charty“, „Psy ostrouche“ „Wielkie psy pasterskie“ i „Dogi“. Bardzo być może, że niektóre z tych grup pochodzą więcej niż od jednego gatunku psów dzikich, a psy, do nich przezemnie zaliczone, można podzielić jeszcze na grupy mniejsze. Obecnie jednak wiele ras jest bardzo mało znanych, a znajdą się zapewne w przyszłości zupełnie dotąd nieznane kynologom. W miarę nagromadzenia się większej ilości materyałów, prawdopodobnie i podział mój okaże się niedość dokładnym; w każdym jednak razie zdaje mi się on bardziej racyonalnym od dotychczasowych.

Cały prawie materyał do swej pracy czerpałem z obcych dzieł. Inaczej też być nie mogło. Niema i nie może być człowieka, któryby nietylko mógł opisać tyle ras psów z własnej obserwacyi, ale nawet takiego, któryby te wszystkie rasy widział. Oprócz tego dla większości ras ustalonych, odpowiednie kluby kynologiczne ustanowiły cechy typowe i procentowe tablice stosunku ważności różnych części ciała dla danej rasy. Cechy te i tablice są powszechnie przyjęte i nikt z piszących o psach nie może zmieniać ich podług swego widzimisię, lecz musi je przytaczać dosłownie. Tak samo co do dat historycznych przechodziłoby siły pojedyńczego człowieka, przestudyowanie wszystkiego, co o psach, pisano w różnych epokach. Materyały te gromadziły się stopniowo pracą i trudem wielu ludzi i obecnie, każdy według sił i zdolności może z nich korzystać. Wobec tego wszystkiego, każde dzieło traktujące o różnych rasach psów, musi mieć charakter kompilacyjny. Za zwyczajną jednak kompilacyę uważać powinniśmy tylko bezkrytyczne zebranie i przepisanie opisów i poglądów innych autorów, a mam nadzieję, że moja praca na taką kwalifikacyę nie zasługuje. Pewna, choć tylko dyletancka znajomość nauk przyrodniczych, oraz osobiste obserwacye psów, prowadzone z zamiłowaniem od dzieciństwa, pozwoliły mi rozebrać krytycznie, zgromadzony z trudem materyał książkowy i dopełnić go własnemi poglądami na kwestye pochodzenia i wartości niektórych, bliżej nas obchodzących ras. Podług mego więc, może być stronnego zdania, podręcznik przezemnie ułożony, nie jest kompilacyą, lecz pracą oryginalną i dość poważną. Nie moją jest rzeczą sądzić, o ile udało mi się zadowolnić lub zainteresować czytelników „Łowca Polskiego“, w każdym jednak razie podręcznik mój mógłby zapełnić choć jedną lukę w naszej ubogiej literaturze łowieckiej. Dotąd, rzec można, nie mieliśmy ani jednej książki, traktującej o pochodzeniu i wartości różnych ras psów; były pewne usiłowania w tym kierunku lecz tak słabe, że wspominać o nich nie warto.

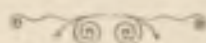
Napisałem *mógłby zapełnić*, a nie *zapełnia*, gdyż w rzeczywistości cała moja praca w bardzo prędkim czasie ulegnie zupełnemu zapomnieniu i nikt nie zechce szukać w niej potrzebnych mu informacyj. Taki jest los wszystkich tego rodzaju podręczników, drukowanych nie w oddzielnem wydaniu, lecz w rocznikach z kilku lat jakiegoś peryodycznego wydawnictwa. Z drugiej znów strony, pomimo zamiłowania w psach szerokich kół naszego społeczeństwa, zainteresowanie się psami rasowemi jest jeszcze tak małe, a oszczędność w nabywaniu książek tak wielką, że wydanie w osobnej odbitce mego podręcznika niechybnie musiałoby wydawcę narazić na straty. Ze smutkiem więc muszę pogodzić się z myślą, że długoletnia praca moja przyniosła niewiele korzyści, a niedługo zupełnie zapomnianą będzie. Z tem prze-

[1]) Strzały prochem Liszewa, lub „Sokół“ w sztucerach kal. 450 i 500 są ryzykowne, a rezultatów lepszych nie dadzą.

Redakcya.

konaniem, bardzo niewesołem dla autorskiej próżności, kończę szereg swych artykułów o rasach psów domowych; nie żegnam się jednak jeszcze z czytelnikami „Łowca Polskiego“ i mam nadzieję nieraz jeszcze pogawędzić z nimi za pośrednictwem tego sympatycznego pisma.

August Sztolcman.



Polowanie ze pskowianami.

(Ciąg dalszy).

Cztery wilki zostały upatrzone o pół wiorsy od drogi w tych właśnie kępach. Nie zatrzymując koni, przejechaliśmy obok wilków, i dopiero straciwszy je z oczu, zatrzymaliśmy się, aby ułożyć plan kampanii. Zwracam uwagę na ten szczegół: nie należy nigdy przedsiębrać działań na widoku zwierza; dość jest nieraz zatrzymać konie, aby zwrócić na siebie jego uwagę i ruszyć go, czem spomplikujemy bardzo polowanie, gdyż będziemy zmuszeni obcinać zwierza w biegu.

Postanowionem zostało, że czterej myśliwi wrócą się saniami nazad i będą zeskakiwać kolejno za przydrożnemi krzaczkami, a trzej pskowianie zajadą wilkom od tyłu. Nie trzeba chyba dodawać, że myśliwi rozstawili się z wiatrem. Trzeba było leżeć na śniegu za prątkami, które nic nie zakrywały; jedynie liczyliśmy na zupełną naszą nieruchomość i zręczność pskowian. Po dwudziestu minutach wilki zaczęły zdradzać niepokój; podniosły się i zwolna oglądając się, ruszyły ku prawej stronie. Przebywszy ze dwieście kroków, zatrzymały się, a zmieniwszy kierunek, zaczęły się oddalać od stanowisk. W tym czasie na prawo ukazał się jeden ze pskowian w formie ruchomego, czarnego punkcika; drugi taki punkcik ukazał się prawie jednocześnie z poza wzgórza nawprost stanowisk i zmusił wilki do raptownej zmiany kierunku. Wróciwszy do swego pierwotnego legowiska, skręciły na lewo wzdłuż stanowisk, i zdawało się, że wyszły zupełnie ze sfery działania pskowian, gdy naraz opóźniony nieco i dopiero teraz ukazujący się trzeci pskowianin, zamknął to zaczarowane koło, z którego już widocznie wyjścia nie było. Otoczone z trzech stron poruszającemi się figurami ludzkiemi, które ciągle zbliżały się, zabiegając to na prawo, to na lewo, wilki, rozbiwszy się, niechętnie ruszyły ku stanowiskom. Dwa z nich, widocznie bardziej napłoszone i mniej ostrożne, poszły wprost na stanowiska, gdzie pierwszy z nich został zabity; drugi rzucił się w tył i razem z pozostałą parą przerwał się przez lewe skrzydło; wilki spostrzegłszy myśliwych po strzałach, już nie zwracały uwagi ani na ruchy, ani nawet na krzyki pskowianina, który znajdował się od nich jeszcze bardzo daleko.

Oczywiście, że takie polowania nie mogą być bardzo wydajne. Zaraz po pierwszym strzale odsłonięta linia myśliwych staje się dla wilków widoczną i napędzić je na stanowiska jest już rzeczą niemożliwą. Niekiedy, ale tylko wypadkiem, uda się szczęśliwemu myśliwemu zrobić w polu dublet, a szanse takiego wypadku zwiększają się, jeśli uda się myśliwemu w jakikolwiek sposób ukryć, choćby zakopując się w śnieg i nagrzebując przed sobą górkę ze śniegu.

Jeszcze efektowniej wychodzą przykłady polowań w polu w tych razach, jeśli udział w niem bierze jeden tylko myśliwy przy dwóch, a nawet jednym pskowianinie, szczególnie jeśli zwierz jest w ruchu i należy go objeżdżać i zajeżdżać konno.

Opisywać takie wypadki znaczyłoby pisać opowiadania myśliwskie, co bynajmniej nie leży w programie niniejszych notatek; a wyliczyć wszystkie wybiegi i sztuki, jakich używa pskowianin, ażeby oszukać czujność zwierza - jest wprost niemożliwem.

Wrócę jeszcze do poprzedniego przykładu, objaśnionego rysunkiem; zwrócę w nim uwagę na idealne urządzenie stanowisk. Wystrzały z poza górki i przeciw wiatru były ledwie słyszane, a dostrzedz myśliwych, a nawet krzaki, za któremi tamci byli dobrze schowani, mogły wilki dopiero wtedy, gdy już odwrót był niemożliwy.

Kostyum myśliwski gra nieostatnią rolę na łowach pskowskich i musi być przystosowany do miejscowości. Przy polowaniach w polu, gdzie niejednokrotnie trzeba siadać, lub nawet kłaść się wprost na śniegu, odpowiedniem ubraniem może być biały, płócienkowy chałat. Przed dwunastu laty wielokrotnie polowałem w pojedynkę i z jednym tylko pskowianinem w polnych miotach, i taki chałat oddawał mi znakomite usługi. Teraz nam, myśliwym moskiewskim, rzadko zdarza się polować w polu, a w każdem innem otoczeniu białe odzienie odbija zbyt wyraźnie i dlatego nie można go rekomendować. Najlepszym kolorem ubrania do polowań w lesie jest jasno szary, a według mego osobistego zdania — lepszy jest szary z żółtawym, a nie z niebieskawym odzieniem. Najlepszą jednak gwarancyą dobrego rezultatu polowania jest nie odzienie, lecz zimna krew i spokój. Dopuścić wilka do samego stanowiska można w każdem odzieniu, jeśli tylko zachowamy *kompletną nieruchomość*, i na odwrót, żaden kostyum nie ukryje niespokojnych ruchów myśliwego, który na widok zwierzyny rzuca strzelbą, przybiera wygodną do strzału pozycyę, a nawet wychyla się z poza zasłony.

Sama zasłona nie powinna być bynajmniej nieprzezroczysta, a w każdym razie nie powinna krępować ruchów i zasłaniać promienia strzału od oczu myśliwego; nie powinna być wysoka, ażeby można strzelać z poza niej we wszystkich kierunkach. Najlepiej jest korzystać z naturalnej grupy krzaczków lub świerków. Nigdy nie należy stawać za grubem drzewem, gdyż taka pozycya, nie zasłaniając myśliwego od zwierza, idącego z boku, przeszkadza jednocześnie widzieć go, gdy tenże idzie na sztych, a jest bardzo niewygodną do strzału. W takim wypadku lepiej jest stać przed drzewem, oparłszy się o nie plecami; postać myśliwego dzięki odpowiedniemu kostyumowi, zlewa się wtedy z tłem drzewa.

Z chwilą gdy zajmujemy stanowisko, niezbędnem jest obejrzeć się dobrze, gdzie się znajdują sąsiedzi, ażeby wiedzieć, do jakiej odległości można strzelać, a przedewszystkiem, w jakim kierunku nie należy strzelać; następnie opatrzeć stanowisko i wyciąć wszystkie gałązki i witki, które mogłyby tamować swobodę strzału. W tym celu należy mieć ostry nóż z piłką, a jeszcze lepiej sekator (ogrodnicze nożyce) niewielkich rozmiarów. Ażeby się nie kręcić na stanowisku w czasie pędzenia, dobrze jest mieć jaknajobszerniejszy promień widzenia i dlatego, jeśli stanowiska znajdują się na drodze lub na linii, to koniecznem jest umieszczać je nie pod knieją, a po drugiej stronie linii lub drogi, gdyż wtedy przy dostatecznej szerokości przecinki i niezbyt rzadkiem rozmieszczeniu stanowisk, cały obszar strzału znajduje się w granicach wzroku myśliwego, który, dzięki temu, nie potrzebuje nawet kręcić głową na prawo lub na lewo.

(Dok. nast.)

SKUNKSY I SZOPY.

(Dokończenie).

Na skunksy nastawiają żelaza, które leżą przed norą, zamieszkaną przez zwierza, lub przed innem jego schroniskiem; gdy wychodzi i nadepcze na żelaza lub w nie wskoczy, zostaje schwytany. Żelaza pokry-

wa się lotnym piaskiem, który nie zamarza, suchemi liśćmi lub mchem rozdartym, i są przywiązane łańcuchami do cienkich słupków długości dwóch sążni; gdy je tak ułożono, amerykanie mówią sobie *„good bye“*. Nazajutrz pan skunks siedzi zwykle przed norą, najczęściej schwytany za nogę przednią i za zbliżeniem się człowieka lub psa, przyjmuje znaną pozycyę zaczepno-odporną; włochata kita jest zarzucona na grzbiet, a „część tylna gotowa do walki i do... wybuchu“. Doświadczony trapper nie zwraca uwagi na ten manewr, lecz bierze szybko żelaza razem ze słupkami i skunksem, zarzuca je sobie na plecy i zanosi do najbliższego, otwartego zbiornika wody.

Jeżeli brak takiego w zimie, z powodu zamarzania, przygotowuje z góry przerębel w lodzie i zanurza w niej wszystko razem, żelazo, łańcuch i skunksa. Wystaje tylko słupek. Podczas dźwigania do wody, skunks nie ma sposobności wyrzucania swego sekretu; to też po drodze, którą przechodzi trapper, niema śladu smrodu. Gdy po jakim kwadransie wyciąga zwierzę z wody, to już nie znać na futrze plam żółtych, których się tak obawiamy, ani też nie czuć najlżejszego atomu strasznego płynu. Wygląda tak czysto i apetycznie po „wymyciu“, jakby jaki szczur piżmowy lub *„Jack Rabbit“*.

W każdym razie i teraz jest jeszcze poważne niebezpieczeństwo do ominięcia; są niem same gruczoły smrodliwe, których ani naciskać, ani obcinać nie wolno przy zdzieraniu skóry lub wyjęciu tłuszczu ze zwierzęcia. Szczególną ostrożność zachować należy przy tłuszczu skunksa, będącym na cal gruby i zupełnie bezwonny. Ażeby go zdjąć w porządku, kładzie się zwierzę na kozłach drewnianych, z góry przyciętych tak, żeby dobrze pasowały, i zupełnie gładkich, a potem na sposób garbarski zdejmuje się *„Grease“* — tłuszcz — ze skóry starannie nożem tępym, drewnianym. Podobnież zdejmuje się, lecz ostrym nożem, tłuszcz, pozostały na ciele, z mięsa i osierdzia; tłuszcz ten kraje się na kawałki sześcienne, rozpuszcza je na łagodnym ogniu i zapełnia niemi w końcu szklanki lub czyste, szczelnie się zamykające słoje blaszane, by potem sprzedawać wielkim aptekom — *„Wholesale Drugstores“* — które płacą około sześciu dolarów za czysty, żółtawy lub zupełnie biały płyn oleisty, zawarty w jednym t. zw. galonie (miara angielska); płyn ten nosi w handlu nazwę: *„Skunk Oil“*.

Obecnie zwierzę to pozatem nie daje wielkiego dochodu, za skórę płacą tylko od 25 do 75 centów, ponieważ futro już wyszło z mody. Długie, białe włosy wyskubuje się, robiąc z nich pendzle; tylko *„Skunk Oil“* jeszcze się opłaci dobrze; razem z futrem zwierzę to zapewnia spory dochód trapperowi, który zajmuje się na wiosnę łowieniem skunksów.

Trapper pracuje cicho i samotnie, ale bez ustanku w różnych krainach, od *„Indian Summer“* aż do miesięcy zimowych, gdy ziemia jest pokryta śniegiem i pełna lodu. Odcięty od gwaru wielkomiejskiego i kłopotów, świat trapiących, łowiec myśli tylko o pogodzie, która stanowi o skuteczności jego zabiegów; spodziewa się też każdej chwili, świeżej roboty i obfitego zysku! Wie dobrze, kiedy zorza wstaje poranna, kiedy wieczór zapada, kiedy czuje głód i pragnienie, wie to wszystko bez zegara i dzwonka. Nieraz wprawdzie zapomina o porządku dni i miesięcy, ale ma swoje znaki, według których oryentuje się, kiedy czas jest myśleć o łowieniu innego gatunku zwierzyny.

Czasem tym jest sam początek wiosny, kiedy skóra i sierć tego zwierzęcia najkorzystniej się prezentują, ponieważ ono jest wtedy wyspane i nie posiada grzejącego tłuszczu, który mu służył za „piec“ podczas miesięcy lodowych, gdy wysypiał się na drzewie. Jest to *Raccoon*, pospolicie zwany *„Coon“*, szop (*Procyon Lotor*).

Szop — rodzaj zwierząt ssących, z rodziny niedźwiedziowatych, cechuje się pyskiem ostrym, krótkim, ogonem miernej długości i sześciu zębami trzonowemi z obu stron w każdej szczęce. Najwięcej znanym gatunkiem jest *Procyon Lotor*, około dwóch stóp długi, koloru brunatno-popielatego, z pyskiem białawym; żywi się jajami, ptakami i t. d., które przed spożyciem zawsze w wodzie zanurza. Łatwo się oswaja.

Oprócz gatunku 1) szop pracz (*P. lotor*), znane są jeszcze: 2) szop kusy (*P. brachyurus*), 3) szop Marpach (*P. Hernandezii*), 4) szop ciemny (*P. obscurus*), 5) szop rakojad (*P. cancrivorus*) i 6) szop - psora (*P. psora*).

Laik z trudnością pojmuje, co to zwierzę ma wspólnego z niedźwiedziem, mimo, że po niemiecku naprzykład nazywa się „niedźwiedziem - praczem“ (*Waschbaer*). I rzeczywiście ma ono z nim tyle tylko



„Szop“, *Raccoon* (*Procyon Lotor*).

wspólnego, że chodzi na stopie, jak zresztą także skunks, drapie się po drzewach, odbywa smaczny sen zimowy i żywi się zarówno wszelkiem mięsem żywem jak i roślinami. Pod względem siły, postawy i barwy sierci *„Coon“* jest do wszystkiego innego raczej podobny, niż do niedźwiedzia. Nie idzie tu jednak o nazwę. Trapper wie, co robić ze zwierzęciem, gdy je raz posiędzie, i wie także, jak je złowić, gdy posiąść je pragnie. Myśli o niem głównie wtedy dopiero, kiedy jego mięso i tłuszcz są już przydatne dla kuchni, a zatem późną jesienią. Wtenczas jednak człowiek musi się zadowolić okazem drugorzędnym. Natomiast wczesną wiosną, gdy szop już nie posiada tłuszczu, ponieważ został strawiony przez ciało w zimie, a mięso również jest niesmaczne i suche, jak szczapa, — ma najlepsze futro, świeżo zdjęte z drzewa, na którem zwierzę się wyspało i wypoczęło.

Podczas tego snu zimowego, który *„Coon“* odbywa w starych, wydrążonych drzewach, zdarza się często, że, zwłaszcza w dnie pogodne, szop odczuwa pragnienie i musi szukać wody. Opuszcza wtedy na krótki czas swe drzewo do spania i chodzi do prze-

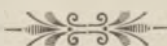
rębli otwartej, by się napić wody, jak lód, zimnej. Te dnie i noce zimowe, poświęcone wypadkowym spacerom, stanowią najlepszą okazyę dla trappera, którą on skwapliwie wyzyskuje, ażeby zamieszkane, wydrążone drzewa „*track'ować*", posługując się tropami, na śniegu zostawionemi.

Trapper znaczy wtedy te drzewa, starając się do wiosny, jaknajmniej niepokoić poblizką okolicę. Szopy, które najwcześniej wychodzą, dowierzając dłuższej pogodzie cieplej na wiosnę, zostają „trappowane", jak „*Coony*", późną jesienią. Są wtedy wygłodzone, poruszają się wolno, kierują do wody i dają się chwytać w żelaza z byle jaką przynętą. Dla tych, które śpią dłużej, przeznacza się osobny gatunek żelaz, przyczem posługują się piłą ręczną i hakami. Rzadziej stosuje się wykurzenie dymem, ponieważ „*Coon*" przeważnie tak tkwi w drzewie, że dopiero wtedy się wysuwa, gdy płomienie już mu sierć opalają, uszkadzając także ciało. Natomiast siekierka ostra, o długiej rękojeści i dwadzieścia twardych palców, nawykłych do pracy, zawsze sobie radę dadzą, gdy nawet drzewo „Coona" ma pięć stóp średnicy.

Mięso jedzą chętnie biali i indyjscy traperzy, jak również ludzie po miastach wszędzie i o każdym czasie, mimo że ma ono jakiś zapach ostry, który zresztą można łatwo usunąć, zanurzając zwierzynę w kipiącym occie.

Egzemplarz *Raccoona* przynosi trapperowi od 75 centów do 1.50 dolara dochodu, stosownie do tego, czy zwierzę zostało złowione późną jesienią, czy na wiosnę. Przeszło pół miliona sztuk wywożą corocznie z Ameryki północnej do Niemiec i Rosyi, gdzie je przerabiają na futro.

Jerz.



ZWIERZYNA I TELEGRAF.

Zwierzyna w krajach mało zaludnionych, niszczy często druty i słupy telegraficzne. Największym szkodnikiem jest bizon. Zdawaćby się mogło, iż ten potężny rogal upatrzył sobie coś do słupów telegraficznych; wpada na nie, wywraca i odrzuca nieraz daleko. Nie robi on tego wcale z jakiejś złości, ani z nienawiści do kultury, lecz tak sobie, dla przyjemności. I co robić z takim jegomościem? Wyperswadować mu niepodobna, postawić na setkach i tysiącach kilometrów dostateczną straż zbrojną, — również nie można, niema też sposobu wznosić takich słupów, aby zdołały wytrzymać uderzenie siłacza. Probowano nabijać dolne części wielkiemi gwoździami — na nic się nie zdało, przeciwnie: bawoły przedewszystkiem wyszukiwały słupów podobnych, bo gwoździe łechtały je tylko przyjemnie przez grubą skórę i skołtunione, zlepione żywicą kudły.

Niedawno pisma amerykańskie donosiły, iż nowa linia telegrafów, zbudowana w północnej części stanu Maine, została zepsuta przez czarne niedźwiedzie, licznie żyjące w lasach tamecznych. Wdzierały się misie na słupy i... odgryzały porcelanowe izolatory! Oczywiście, nie jest to potrawa ani smaczna, ani strawna nawet dla niedźwiedzia, a jednak ma on do niej jakiś osobliwy pociąg, bo podobne szkody wyrządza i w Norwegii i w Rosyi. Tłomaczą zaś to w sposób następujący: gdy wiatr wieje, niedźwiedź słyszy szelest drutów i bierze go za brzęk pszczół. A że jest amatorem miodu, więc węszy, szuka, dociera do wierzchołka słupa, bo ztamtąd dochodzi dźwięk ponętny; znalazłszy nieznany sobie biały przedmiot, mniema, iż to tam ukryto przed nim przysmak.

Podobnym złudzeniom ulega też dzięcioł. Jemu znowu szelest drutu wydaje się głosem owadów. Więc szuka ich w słupie, a nie znajdując, posuwa się coraz dalej, coraz głębiej. Wydziobuje sobie dziury takie, że się słup przy pierwszym, silniejszym wietrze łamie. Szczególniej gorliwy w tej robocie jest wielki dzięcioł czarny: dłubie nieustannie, dopóki słupa nie przedziurawi na wylot. Należy też on do najgorszych wrogów telegrafu.

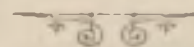
Nie lepiej obchodzi się ze słupami telegraficznemi amerykański jego kuzynek. Dzięcioły, znajdujące się w wielkiej ilości między Kalifornią a Meksykiem, mają zwyczaj wydziobywać sobie w jesieni w korze drzew dębowych i sosnowych otwory, w których składają następnie zapas żywności na zimę. Podobne właściwości odkryto niedawno u dzięcioła, żyjącego w okolicach nadmorskich. Ptaki te latają gromadnie nad morzem, gdzie wyszukują pewien rodzaj ślimaczków morskich, ulubiony ich przysmak, które następnie ukrywają w wydziobanych w drzewach otworach, ażeby je w razie potrzeby spożyć. Przyniósłszy ślimaczka, ukrywa go dzięcioł w otworze, poczem robi drugi otwór i odlatuje po nową zdobycz. Wybór pożywienia jest bardzo sprytny, ślimaczki te bowiem odznaczają się wielką wytrzymałością i żyć mogą długi czas w otworach drzew. Z wprowadzeniem komunikacyi telegraficznej, przyszedł dzięcioł amerykański do przekonania, że do urządzenia składów żywności najlepiej nadają się suche i gładkie słupy telegraficzne, niszczy też je okrutnie i niema możności, ażeby temu zapobiedz.

W Afryce wschodniej żyrafy zatruwają życie służbie telegraficznej. Wysokie te zwierzęta sięgają głowami daleko poza druty telegraficzne, które w szybkim pędzie zrywają niejednokrotnie.

Pierwsza linia telegraficzna w Afryce wschodniej, idąca od Bagamoyo do Tanga, ulegała już w czasie budowy częstym uszkodzeniom przez żyrafy. Mimo długoletnie doświadczenie, nie nauczyły się zwierzęta te do dziś dnia unikać drutów telegraficznych. Szkoda, wyrządzona przez nie, jest bardzo dotkliwa, tem dotkliwsza, że niema sposobu zaradzenia złemu. Żyrafa w pędzie obala słupy, zrywa druty i biegnie dalej, ażeby za chwilę szkodę takąż wyrządzić w innem miejscu.

Ktoby się jednak spodziewał, że i używający powszechnie opinii rozumnego zwierzęcia, słoń należy również do wrogów telegrafów, że w Indyach niejednokrotnie wyrywa trąbą swą setki, a nawet tysiące słupów telegraficznych. Jako arystokratą wśród zwierząt, nie powoduje nim przy spełnianiu tej czynności żądza zdobyczy, jak to widzieliśmy u niedźwiedzia, lub mania gromadzenia, jak u dzięcioła; uważa wyrywanie słupów telegraficznych, jako szlachetną zabawę sportową. Ma on zwyczaj niejednokrotnie pozbywać się nadmiaru sił swoich w sposób wesoły i przyjemny, i uważa, że się słupy telegraficzne do tego bardzo dobrze nadają.

K.



Próby polowe wyżłów.

Tegoroczny konkurs wyżłów, urządzony staraniem Warszawskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, odznaczał się mniejszym udziałem eksponentów, aniżeli lat poprzednich, gdyż przedstawiono wszystkiego 5 wyżłów, a mianowicie 2 w dziale „psów starszych" i 3 — w dziale „psów w pierwszem polu". Dwaj wybitni nasi hodowcy, a mianowicie p. Oskar Saenger z Pabianic i kap. Herman, nie zaprodukowali, jak lat poprzednich, swoich wychowanków i dlatego widzimy tak słaby udział w konkursie. Mimo to wynik tegorocznej próby uważać należy za nader pomyślny, gdyż na pięć konkurujących psów, trzy zostały odznaczone najwyższemi nagrodami.

Konkurs odbył się na polach folwarku Służewice, użyczonych grzecznie do tej próby przez hr. Ksawerego Branickiego. O godzinie 8-ej rano zjechali się sędziowie, wystawcy, oraz małe grono amatorów-spektatorów, przy stacyjce kolejki Grójeckiej. *Jury* w tym roku stanowili pp. Aleksander Szwede, Wacław Paszkowski i Jan Sztoleman. Po wybraniu p. Szwedego na przewodniczącego, przystąpiono do losowania, w jakim porządku, przedstawione psy będą próbowane, przyczem wypadł rezultat następujący:

1) „Caro“ — pointer p. Majewskiego ze Skierniewic, 2) „Filon“ - pointer p. W. Szostaka, 3) „Holly“ — pointer tegoż, 4) „Kszyk“ - pointer tegoż i 5) „Alfa“ — suka niemiecka, gładko-włosa p. Stanisława Lilpopa z Brwinowa.

Dzień był pogodny, wiatr chłodny, może nieco za silny — warunki więc do próbowania zapowiadały się dobrze. Za zgodą p. Majewskiego, puszczono na pierwszy ogień „Kszyka“, znanego nam już z przed lat dwóch, kiedy jako pies w pierwszem polu zdobył III nagrodę w dziale psów starszych. Puszczony na duży łan kartofli, „Kszyk“ w szalonym pędzie zajął obszerne pole, obłożył raz i drugi i po krótkim czasie zrobił klasyczną stójkę, poczem doskonale doprowadził do stada kuropatw. Padły dwa strzały, przyczem pies ani drgnął, a na rozkaz szybko odszukał dwa zabite ptaki, przynosząc je delikatnie swemu panu. Próbowany w dalszym ciągu, wykazał doskonałe chody, sposób szukania bez zarzutu, i twardą, jak przystało na psa rasowego — stójkę.

Gdy już wiadomem było, gdzie się kury znajdują, na prośbę sędziów, puścił p. Majewski swego niewielkiego pointerka „Caro“, psa ledwie w 11-ym miesiącu. „Caro“ zrazu nie zawietrzył kilku kuropatw, rozbitych na ścierniu, lecz natychmiast naprawił ten błąd, wystawiając doskonale pojedynkę w polu kapusty, gdzie ptak, ukryty w głębokiej bróździe, trudnym był do znalezienia; a następnie w temże polu doprowadził bez zarzutu do stada kuropatw. Po strzałach został na miejscu i dopiero na rozkaz pana, przyaportował zabitą kurę.

Następnie próbowano dwa psy w pierwszem polu, a mianowicie „Filona“ (syna „Kszyka“) i „Holly“ — pointerka typu „edge“, oba jednak wkrótce zdyskwalifikowano, jako psy niedotresowane i zbyt mało doświadczone. Pierwszy z nich chodami i sposobem szukania przypomina bardzo ojca, lecz parokrotnie wpadł na kury, a przytem nie chciał się słuchać świstka. „Holly“ znów ma fatalny zwyczaj ciągłego prowadzenia i nieustannego stawania do imaginacyjnej zwierzyny. Miejmy nadzieję, że przy rutynie i dokładnej tresurze oba pozbędą się tych wad, właściwych młodemu wiekowi.

Przyszła kolej na „Alfę“ p. Lilpopa. Piękna ta i bardzo typowa suka niemiecka, pochodzi z gniazda, którego członkowie nieraz brali nagrody na konkursach wyżłów i na wystawach. Nie zawiodła też nadziei swego właściciela, wykazując piękne zalety myśliwskie i znakomitą tresurę.

W zakończeniu konkursu próbowano jeszcze raz „Kszyka“ i „Caro“, poczem sędziowie jednogłośnie wydali następujący wyrok:

I nagrodę w dziale psów starszych (100 rubli i złoty żeton Warsz. Towarz. praw. myśl.) otrzymał „Kszyk“ p. Szostaka.

II nagrodę w tymże dziale przyznano „Alfie“ p. Lilpopa. W dziale „psów w pierwszem polu“ I nagrodę zdobył „Caro“ p. Majewskiego. Drugiej nagrody nie przyznano żadnemu z psów.

Nadto postanowiono odznaczyć nagrodami pieniężnemi (po 10 rb. każdemu) strzelców: Stanisława Narożniaka (p. Szostaka) i Jana Stańczyka (p. Majewskiego).

Dodać też należy, że Moskiewskie Towarzystwo praw. myśl. nadesłało na tegoroczny konkurs dwie nagrody w postaci żetonu srebrnego i medalu srebrnego dla najlepszych psów, stawiając jednak warunek: „o ile te psy odpowiadają warunkom ksiąg rodowodowych rzeczonego Towarzystwa, aby mogły być do nich wciągnięte“. Dopiero po sprawdzeniu okaże się, o ile tegoroczni zwycięzcy odpowiadają wspomnianym warunkom.

Na zakończenie ze smutkiem zanotować trzeba, że jakkolwiek próby polowe wyżłów ściągają rok rocznie pewną liczbę wybitnych psów, to jednak zainteresowanie się temi konkursami wśród ogółu myśliwych jest, jak dotychczas, bardzo słabe. Co roku powtarzają się nazwiska tych trzech, czy czterech hodowców, a tylko niekiedy pojawia się jaki amator ze swym pojedyńczym elewem. Czyżby w kraju naszym było tak mało psów myśliwskich, któreby warunkom konkursu wydołać mogły; czy też właściciele dobrych psów są tak obojętni lub tak mało ambitni, że swoich elewów produkować nie chcą? Może w przyszłości stan ten zmieni się na lepszy, czego dla ogólnej produkcyi psów myśliwskich szczerze życzyćby można.

PROGRAM

Konkursów Strzeleckich Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa w 1905-ym roku.

Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa urządza w r. b. 1905 konkursy strzeleckie w Warszawskiej Strzelnicy (przy rogatce Mokotowskiej). Konkursy rozpoczną się 11/24 września o godz. 10-ej rano, a skończą 16/29 października o g. 5-ej po południu.

Konkursów odbędzie się dziewięć, a mianowicie:

Konkurs I.

Konkurs I „grona miłośników sportu pistoletowego“. Przedmiot, ofiarowany przez pp. Stefana Kretkowskiego, Bronisława Kulakowskiego, Aleksandra Nelkena i Konstantego ks. Radziwiłła, otrzyma przedstawiający 25 tarcz z najwyższą sumą punktów, przy wypełnieniu następujących warunków:

1) Ilość tarcz 25 kolejnych o 7 koncentrycznych kołach, od siódemki do jednego odśrodkowo.

2) Odległość 16 metrów.

3) Broń — pistolety pojedynkowe (kurkowe, nabijane z przodu, ze sznelerami lub bez — dowolnie).

4) Liczba strzałów — 25 do 25 kolejnych tarcz (po jednym strzale do każdej tarczy). Serya powinna być ukończona w ciągu jednej godziny.

5) Ilość seryi — jedna.

6) Sposób mierzenia dowolny, lecz bez oparcia.

7) Rachunek punktów: od siódemki (w centrum) odśrodkowo do jednego włącznie. Pudło rachuje się za zero i nie przerywa seryi, lecz wchodzi w rachunek.

8) O wygranej rozstrzyga najwyższa suma punktów. W razie przedstawienia przez dwóch lub więcej uczestników konkursu, równych najwyższych sum, następuje rozstrzeliwanie się na warunkach konkursu.

9) Po ukończeniu przez każdego z uczestników seryi, wszystkie 25 tarcz zostaje tajemnicą do dnia rozstrzygnięcia konkursu, tak, że każdorazowy rezultat danej seryi ogłoszonym do dnia rozstrzygnięcia nie będzie.

Konkurs II.

Z pistoletu do manekina na komendę na 25 metrów. Konkurs nieograniczony. Nagrody otrzymują ci z konkurujących, którzy przedstawią po jednej najlepszej seryi z 7-miu strzałów. Strzał chybiony wyklucza seryę z konkursu.

Nagrody: I) Żeton złoty. II) Żeton srebrny. III) Żeton bronzowy.

Uwaga: Pistolet opuszcza się na komendę „ognia“, po której to komendzie może bezpośrednio nastąpić strzał. Między komendą „ognia“ i „trzy“ upływa 3 sekundy.

Konkurs III.

Z broni śrótowej dowolnego kalibru do tarczy ruchomej (zając) na 40 metrów. Ilość seryi nieograniczona. Serya liczy się z 20 zajęcy. Dla uzyskania nagrody konkurujący winien wywrócić jaknajwiększą ilość zajęcy jednej seryi, przyczem nie jest obowiązanym wywrócić ich jednego po drugim. Serya, rozpoczęta jednego dnia, nie może być przerwaną i dokończoną w innym dniu. Ci z panów konkurujących, którzy w poprzednich konkursach Warszawskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa otrzymali I, II lub III nagrodę handikapują się, a mianowicie:

Ci, którzy otrzymali I nagrodę, strzelają do 26 zajęcy. Ci, którzy otrzymali II nagrodę, strzelają do 24 zajęcy. Ci, którzy otrzymali III nagrodę, strzelają do 22 zajęcy, przyczem ilość przewróconych zajęcy odejmuje się od normalnej liczby zajęcy, t. j. od 20.

Nagrody. I) Przedmiot wartościowy z napisem na srebrnej tarczy. II) Przedmiot wartościowy z napisem na srebrnej tarczy. III) Żeton srebrny.

Konkurs IV.

Ze sztucerów wszelkich kalibrów i systemów (z wyłączeniem małokalibrowych z bocznem uderzeniem) do znikającego rogacza na 40 metrów. Rogacz widocznym jest przez 5 sekund. Konkurs nieograniczony. Nagrody otrzymują ci współzawodniczący, którzy przedstawią po jednej najlepszej seryi z 5-ciu strzałów. Strzał chybiony wyklucza seryę z konkursu.

Nagrody: I) Przedmiot wartościowy z napisem na srebrnej tarczy. II) Przedmiot wartościowy z napisem na srebrnej tarczy. III) Żeton srebrny.

Konkurs V.

Ze sztucerów dowolnego systemu i kalibru (z wyłączeniem małokalibrowych z bocznem uderzeniem) do ruchomego dzika na 80 metrów. Dla otrzymania I-ej nagrody konkurujący winien zrobić serye z 5-ciu strzałów w ogólnej sumie, minimum 405 kwadratów. Strzał chybiony wyklucza seryę z konkursu.

Nagrody. I) Przedmiot wartościowy z napisem na srebrnej tarczy. II) Przedmiot wartościowy z napisem na srebrnej tarczy. III) Żeton srebrny.

Konkurs VI.

Ze sztucerów dowolnego systemu i kalibru (za wyłączeniem małokalibrowych z bocznem uderzeniem) do tarczy 70 cm. średnicy na 100 metrów. Liczba tarcz nieograniczona. Dla uzyskania nagrody konkurujący winien przedstawić 3 tarcze z 5-ma strzałami z minimalną sumą kwadratów, przyczem do otrzymania I-ej nagrody ogranicza się suma kwadratów do maximum 40; dla otrzymania II-ej nagrody ogranicza się suma kwadratów do maximum 80; dla otrzymania III-ej nagrody ogranicza się suma kwadratów do maximum 120. Strzał chybiony wyklucza tarczę z konkursu.

Nagrody. I) Żeton złoty. II) Żeton srebrny. III) Żeton bronzowy.

Konkursy pocieszenia.

W konkursach, poniżej wymienionych, nie mogą brać udziału wszyscy zwycięzcy lat poprzednich w odpowiednich konkursach, zarówno urządzanych przez Warszawskie Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa, jak i przez Warszawską Strzelnicę.

Konkurs VII.

Konkurs pocieszenia z broni śrótowej dowolnego kalibru do tarczy ruchomej (zając) na 40 metrów. Ilość seryj nieograniczona. Serya liczy się z 15 zajęcy. Dla uzyskania nagrody konkurujący, winien wywrócić jaknajwiększą ilość zajęcy w jednej seryi, przyczem nie jest obowiązanym wywrócić ich jednego po drugim. Serya rozpoczęta jednego dnia nie może być dokończoną w innym dniu.

Nagrody: I) Żeton srebrny. II) Żeton bronzowy.

Konkurs VIII.

Konkurs pocieszenia ze sztucerów dowolnego systemu i kalibru (z wyłączeniem małokalibrowych z bocznem uderzeniem) do ruchomego dzika na 80 metrów. Serya składa się z 5 strzałów. Kto przedstawi najlepszą seryę, otrzymuje nagrodę. Strzał chybiony wyklucza seryę z konkursu.

Nagrody: I) Żeton srebrny. II) Żeton bronzowy.

Konkurs IX.

Konkurs pocieszenia ze sztucerów dowolnego systemu i kalibru (za wyłączeniem małokalibrowych z bocznem uderzeniem) do tarczy 70 cm. średnicy na 100 metrów. Liczba tarcz nieograniczona. Dla uzyskania nagrody konkurujący winien przedstawić 3 tarcze z 5-ciu strzałami każda z minimalną sumą kwadratów. Strzał chybiony wyklucza tarczę z konkursu.

Nagrody: I) Żeton srebrny. II) Żeton bronzowy.

Przepisy ogólne.

1) W konkursie mogą uczestniczyć osoby dorosłe obojga płci. Studenci wyższych zakładów naukowych są dopuszczani do konkursu.

2) Zapisy odbywają się w Strzelnicy przez cały czas trwania konkursu.

3) Strzelać na konkurs wolno tylko w obecności członka dyżurnego, lub osoby przezeń upoważnionej.

4) Dozwala się używać własnych broni, sznelery dopuszczone, lunety wykluczone.

5) Przy strzale nie wolno się opierać o barjerę lub ścianę.

6) Przy strzałach pistoletowych „long feu" stosownie do życzenia strzelającego może być uznane za strzał, lub też wykluczone i w tym wypadku strzelający dostaje inną kulę. Reklamowanie zaraz przy wystrzale „long feu" musi być przyjęte przez członka dyżurnego.

7) Przy strzałach do celów ruchomych: a) jeżeli strzelający oświadczywszy, że jest gotów, nie da strzału, uznany będzie za pudłującego; b) przy nie wypalonym pierwszym strzale, strzelcowi służy prawo żądania świeżych dwóch strzałów, jeżeli jednak po klepnięciu z jednej lufy da drugi strzał, takowy bez względu na rezultat liczony mu będzie; c) gdyby po strzale pierwszym chybionym drugi nie wypalił, strzelcowi służy prawo do jeszcze jednego strzału z warunkiem jednak, że pierwszy strzał da ślepym ładunkiem, a drugi pełnym.

8) Przy strzelaniu do tarcz ruchomych (zająca rogacza i dzika), nie wolno broni przyłożyć do ramienia prędzej, aż po ukazaniu się zająca, dzika lub rogacza.

9). Rozstrzeliwanie pomiędzy posiadającymi jednakowe tarcze, pozostawia się ich wspólnemu porozumieniu; w razie niezgody, stosują się ogólne warunki danego konkursu, t. j. jedna tarcza lub cała serya.

10) Strzelający poddaje się bezwzględnie warunkom konkursu.

11) Nad porządkiem strzelania czuwa Członek dyżurny.

12) Kartony opatrzone są numerami porządkowemi, podcyfrowane przez Członka dyżurnego i podpisane przez stającego do konkursu.

13) Pierwszeństwo przy strzelaniu wskazane jest numerami porządkowemi kartonów, w konkursach zaś 3, 4. 5, 7 i 8—numerami kwitu z opłacenia wpisowego. Posiadacze niższych numerów mają pierwszeństwo przed posiadaczami wyższych.

14) Nie wolno jest strzelać, ani celować do kartonu, bez upoważnienia Członka dyżurnego.

15) Dyżurny nie powinien nikomu dawać wystrzelonych kartonów do ręki, lecz tylko może mu je pokazać; strzelający zaś, kwalifikuje do konkursu tylko te tarcze, które uzna za odpowiednie. Tarcza, zakwalifikowana do konkursu przez strzelającego, winna być zaraz obliczona i wpisana do książki ze wskazaniem sumy kwadratów. Przy strzelaniu do celów ruchomych, rezultat strzału zapisuje się do książki zaraz po każdym wystrzale.

16) Jeśli ładunek klapnie, strzelający ma prawo żądać bezpłatnie nowego, o ile nie strzela swemi ładunkami.

17) Do własnych broni śrótowych wolno używać własnych ładunków, do innych broni—ładunków, nabytych w Strzelnicy.

18) Kartony, przy składaniu do Kancelaryi, będą natychmiast opieczętowane.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 6 września. P. Jan Sztoleman przedstawił wniosek, aby w interesie ochrony zwierzyny Rada zajęła się przywróceniem powagi § 20 naszych przepisów o polowaniu, naruszonej przez pieczętowanie zwierzyny po zamknięciu sezonu myśliwskiego, które to pieczętowanie upoważnia do sprzedawania zwierzyny po sezonie i daje pole do szerokich nadużyć. Rzeczony § 20 przepisów o polowaniu z 1871 r. brzmi: „W czasie, w ciągu którego polowanie jest wzbronionem, sprzedaż zwierzyny pod żadnym pozorem nie dozwala się". Jednakże magistrat m. Warszawy, opieczętowawszy za pośrednictwem swoich funkcyonaryuszów zwierzynę, pozostałą w składach handlujących zwierzyną zaraz po zamknięciu polowania, pozwala ową zwierzynę sprzedawać przez czas nieograniczony. Ponieważ tego rodzaju manipulacya jest w jawnej sprzeczności z duchem § 20 przepisów, przeto wnioskodawca żąda skasowania tego zwyczaju, proponując wzamian za to, ustanowienie jakiegoś parotygodniowego terminu dla wyprzedaży pozostałych z sezonu zapasów. Rada postanowiła zapytać Magistrat warszawski, na mocy czyjego rozporządzenia odbywa się owo pieczętowanie zwierzyny po zamknięciu sezonu myśliwskiego.

P. naczelnik powiatu lubartowskiego odmówił prolongaty biletów na prawo utrzymywania broni przez stróżów przy miejscach ochronnych w Czemiernikach, bowiem nie były one wymienione we właściwym czasie, wobec tego bilety należy wyrobić na nowo. O zmianie więc biletów przed Nowym Rokiem zawsze pamiętać należy, by uniknąć kłopotliwej manipulacyi wyrabiania ponownie tych biletów.

Drobiazgi myśliwskie.

Polowanie w pasie granicznym. 7-miowiorstowym, na skutek rozporządzenia rządu gubernialnego płockiego, zostało wzbronione, zarówno pojedynczym myśliwym, jako też zbiorowe z naganką, bez uprzedniego. każdorazowego zawiadomienia o tem najbliższych kordonów pogranicznych.

Wilki, które pojawiły się w lasach słupieńskich, o czem pisaliśmy w swoim czasie, robią w dalszym ciągu szkody w okolicy. Liczą siedm sztuk tych szkodników, które zaglądają i do dalszych okolic, chwytając owce, jagnięta, prosięta i t. p. Podobno niezadługo ma odbyć się polowanie na wilki, co w kraju naszym należy już do rzadkości.

Walka kaczki ze szczupakiem. Z pod Wyszkowa piszą do „Kur. Porannego". Jedyna w swoim rodzaju i nadzwyczaj rzadka na świecie walka odbyła się w tych dniach na stawie parku Olszańskiego. W czasie, kiedy stado kaczek najspokojniej szybowało po powierzchni wody, zaatakował je olbrzymich rozmiarów szczupak. Zuchwały rabuś wodny rzucił się na przodownicę stada i ostremi zębami począł ją kaleczyć. Na krzyk kaczek nadbiegli ludzie, i ciskając w szczupaka kamieniami, uwolnili ptaka od drapieżnej ryby. Kaczka jednak była tak pokaleczona, że ją dobić musiano. Na szczupaka zrobiono natychmiast obławę i pochwycono go. Ważył drapieżnik dwadzieścia funtów.

Ozdoby myśliwskie. W Antoninach, Józefa hr. Potockiego w d. 31-ym sierpnia, jako w dniu imienin Józefowej hr. Potockiej, odbyła się uroczystość poświęcenia nowowzniesionego frontu pałacowego, we wspaniałej rezydencyi antonińskiej. Założycielem tej siedziby wielkopańskiej był Eustachy ks. Sanguszko, budowę dzisiejszego pałacu rozpoczął Roman ks. Sanguszko, a uzupełnił ją zięć ks. Romana, Alfred hr. Potocki, namiestnik Galicyi, a ojciec obecnego właściciela dóbr antonińskich. Józef hr. Potocki przebudował gruntownie całą frontową część pałacu, który teraz wraz z bocznemi skrzydłami czyni wielce estetyczną całość i przedstawia się wspaniale. Nie potrzeba chyba dodawać, że wykwint i komfort wewnętrznego urządzenia komnat harmonizuje w zupełności z zewnętrzną okazałością budowli. Przedsionki zdobią piękne trofea myśliwskie, zdobyte przez Józefa hr. Potockiego w jego słynnych wyprawach myśliwskich po Azyi i Afryce.

Czeskie prawo myśliwskie. Praska izba handlowa wystosowała petycyę do rządu o zmianę paragrafu 34 i 35 czeskiego prawa myśliwskiego. Chodzi tu o przedłużenie terminu sprzedaży zwierzyny po nastaniu czasu ochronnego, do 4 tygodni, zamiast 14 dni. Dalej proszą, żeby zakaz handlu zwierzyną nie stosował się do sztuk, przywożonych w czasie ochronnym z obcych krajów, lub ze zwierzyńców czeskich, a nareszcie z chłodni (lodowni) miejscowych. Pisma myśliwskie występują przeciw udzielaniu tych ulg, twierdząc, że one prowadzić będą do nadużyć i podejścia prawa. Pisma myśliwskie mają zupełną racyę, mamy bowiem wymowny dowód tych nadużyć u nas, gdzie wprowadzono pieczętowanie zwierzyny po zamknięciu sezonu.

Prawo belgijskie. W Belgii ogłoszono prawo myśliwskie, obowiązujące podczas sezonów 1905 i 1906 roku, a które opiewa: „W czasie ponowy zabrania się polować w polu, jak również przez cały czas, kiedy ziemia będzie pokryta gęstą warstwą śniegu; wolno wtedy polować tylko w lasach, na wodach, na wybrzeżu morskiem i na bagnach".

Zwierzostan w Niemczech. Z wielu okolic w Niemczech dochodzą niepomyślne wiadomości o rezultatach polowań. Kozłów jest niezbyt dużo w rewirach. Również niewielkie są trofea z polowań na kaczki, a na domiar złego i kuropatwy zapowiadają się nie szczególnie, bo młode ucierpiały dużo z powodu ostatnich częstych ulew i teraz zdychają masami.

Statystyka świata zwierzęcego. Muzeum historyi przyrodniczej w Paryżu sporządziło statystykę świata zwierzęcego. Według tych cyfr istnieje na ziemi i w głębiach wód około 400,000 gatunków zwierząt, znanych uczonym i przez nich opisanych. Owady same tworzą przeszło 280,000 rozmaitych gatunków, ptaki natomiast tylko 73,000 (?), a więc 30 tą część wszystkich odmian.

Stosunki myśliwskie w Tyrolu. według zapewnienia gazet tyrolskich, znajdują się w opłakanym stanie. Dawniej spotykano tam gemz mnóstwo, teraz zaś ludność miejscowa tępi je na mięso.

Treść Nr. 18 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Августа 1905 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.